



# I

Im dłużej wpatrywałem się w gospodę Pod Rybim Okiem, tym bardziej byłem przekonany, że jej lokalizację wytyczono po pijanemu.

Nie umiałbym inaczej wyjaśnić tego, że postawiono ją na szczycie niewielkiego wzgórza, gdzie latem prażyło słońce, a zimą szalały wichury, z dala od większego ujęcia wody i jakiegokolwiek ważnego traktu. Kilkaset kroków od imponujących wrót ciągnęła się co prawda na wpół zarośnięta droga, ale nie przypominałem sobie, by cieszyła się popularnością wśród kupców.

Chyba że postawiono ją tu ze złośliwości. Żeby nam, zarazą, robotę utrudnić, pomyślałem z goryczą.

Przez chwilę wodziłem wzrokiem po kwiatnych łąkach porastających zbocza wzniesienia. Barwną monotonię zakłócał pojedynczy trup, z którego piersi sterczały dwa bełty. Na jednym, o ile się nie myliłem, właśnie przysiadł motyl.

– I co? – spytał tubalnym głosem sir Valdan i poprawił pas opinający mu brzuszysko. Wbijał wzrok w gospodę, nie mniej parę razy zauważyłem, że zerka kpiąco w moją stronę i uśmiecha się porozumiewawczo do pozostałych rycerzy. – Dacie radę czy mamy to załatwić po naszymu?

Mówiąc to, zacisnął potężną łapę na rękojeści miecza, aż skóra rękawicy zaskrzypiała.

– Po waszemu – wycedziłem – czyli jak, jeśli wolno zapytać?  
Niemałże usłyszałem chrzęst, z jakim rycerz ściągnął  
bujne, krzaczaste brwi.

– Oj, nie podoba mi się twój ton, Kociołek – burknął. –  
Gdybyś był ciut głupszy, pomyślałbym, że drwisz sobie ze  
mnie. Ze mnie, sir Valdana, kuzyna jaśnie panującego nam  
księcia Ruperta!

Słowa rycerza pokreśliło kilka złowrogich mruknięć,  
stęknęć i brzęknęć dobiegających od strony jego świty.  
Żołnierze książęcej drużyny, który poroziadali się wśród  
rzucających cienie drzew, beznamiętnie przyglądali się wy-  
mianie zdań.

– O, właśnie! – zawołałem z udawaną radością w głosie. –  
Dobrze, żeś wspomniał księcia Ruperta, cny rycerzu.

Valdan ze świstem wciągnął powietrze, rozdymając się  
przy tym jak purchawa. Nie jestem ułomkiem i z niejedne-  
go pieca chleb jadłem – w niejednej knajpie też baty zbiera-  
łem – ale w tej chwili kuzyn księcia Ruperta wydał mi się  
dwakroć większy ode mnie. I to bez wyciągania miecza.

– Będziesz się księciem zaślaniał? – wycharczał rycerz. –  
Może jeszcze zamachasz tym świstkiem, który książę ła-  
skawie zgodził się ci podpisać, co? Tobie, nieurodzonemu  
chmyzowi! Zapludemu chłopu! Ciurze obozowemu w...  
w gnoju utytłanemu!

Ostatni epitet sprawił mu zauważalny wysiłek, ale pełen  
uznania rehot kompanów wynagrodził trudy.

– Umową podpisaną z waszym księciem machać ci przed  
gębą nie będę – powiedziałem, odczekawszy, aż przycich-  
nie wesołość. – Głównie dlatego, że to ważny dokument,  
a ty się, cny rycerzu, koszmarnie ślinisz. Wspomniałem zaś

o księciu, ponieważ w tym oto przybytku – wskazałem kciukiem gospodę – więziona jest jego córka Matylda. Ukochała córka, nadmienię, pewnie dlatego, że jedyna pełnoletnia, a więc strategicznie ważna. Uwięziło ją czterech siepaczy o mordach tak zakazanych, że na ich widok kury wypychają sobie jaja z powrotem w dupy, bojąc się o los piskląt.

– Każdego z nich... – zaczął chrapliwie rycerz, ale nie pozwoliłem mu dokończyć.

– ...rozszarpałbyś na kawałki – wszedłem mu w słowo. – Och, niewątpliwie. Rzecz w tym, że zanim dobiegłbyś do drzwi gospody – tu otaksowałem okazały brzuch rycerza – tamci zdążyliby już księżniczkę zerznąć, a potem zarznąć. Niekoniecznie w tej kolejności. Dlatego właśnie tak zazdrośnie strzegę umowy, sir Valdanie. Figuruje w niej ustęp, który zwalnia mnie z odpowiedzialności za wynik akcji, jeśli przeszkodzi mi osoba trzecia. Czyli jakiś idiota.

Wspominając, że nieraz zdarzyło mi się zebrać baty, nie nadmieniałem, że przeważnie byłem sam sobie winien, prawda? Bo za dużo gadam?

Miażdżąca logika mojego wyводу nie zrobiła wrażenia na sir Valdanie, a purpura, którą nabiegły jego policzki, świadczyła o tym, że zapamiętał tylko ostatnie zdanie. Warknął głucho, sapnął i przesunął dłoń po rękojeści miecza.

Przesadziłem, przemknęło mi przez myśl. Mimo wszystko przesadziłem.

Wtedy poczułem za sobą czyjąś obecność, silną i niewzruszoną. Niemalże ujrzałem, jak nowo przybyły unosi ramiona i z chrzęstem zaplata je na przerdzewiałym napierśniku.

– Zadbajmy, szlachetny panie rycerzu, o odpowiedni poziom dyskusji – oznajmił tubalnym głosem Urgo.

Rozwścieczony Valdan spojrział na niego i nagle spora część jego wściekłości gdzieś znikła, niczym ognisko roztrącone celnym kopniakiem. Widziałem w jego spojrzeniu czujność i nieufność. Nie dziwiłem się temu ani trochę.

Bo Urgo, wyższy i potężniejszy od zwykłego człowieka, budziłby respekt nawet bez starego, lekko przerdzewiałego napierśnika, przytroczonej do pleców tarczy, ciężkiej włóczni z paskudnie zębatym ostrzem i masywnego miecza u boku. Nie zwykł się jednak rozstawać ze swoim arsenałem, a że poruszał się z wdziękiem i swobodą, nawet amator wojennego rzemiosła nie miał wątpliwości, że Urgo to mistrz w swoim fachu. Resztę złudzeń rozwiewały szare, zawsze poważne oczy, surowe, nienawykłe do uśmiechu oblicze oraz na poły zamazany, ale wciąż czytelny symbol Doli na napierśniku.

Po raz tysięczny postanowiłem, że przy najbliższej okazji złożę Doli ofiarę w podzięcie za takie towarzystwo. O ile, rzecz jasna, nie zapomnę.

– Na poziom dyskusji nie narzekam – powiedziałem zimnym tonem. – Radzę sobie.

– Nie radzisz – bąknął któryś z przybocznych Valdana.

– Nie jest źle – odezwał się inny, który przechwycił na dłuższą chwilę spojrzenie Urgo. – Radzi sobie.

– Średnio sobie radzi – burknął trzeci. – Osobiście...

– ...radziłbym wam się przymknąć – wszedłem mu w słowo. – Wszystkim. Bo ja, w przeciwieństwie do was, mam tu robotę do wykonania. – I odwróciłem się powoli w stronę Urgo, z nadzieją, że gest ten miał w sobie odpowiednią dawkę wyniosłości i pogardy.

– Wrócił Zwierzak? – spytałem.

– Wrócił – przytaknął Urgo i poprawił pas z mieczem.

– Wszystko wiemy?

– Prawie.

Ignorując rycerzy książęcych, ruszyłem w stronę reszty mojej drużyny, która skupiła się na skraju lasu, z dala od orszaku Ruperta.

– No i co? – Ukucnąłem obok Zwierzaka. – Czego się dowiedziałeś?

Goblin zerknął na mnie, a potem ponownie skierował spojrzenie na gospodę. Reszta naszej kompanii otoczyła nas bez słowa.

– Nie czterech, ale pięciu. Pewni siebie. Dwóch śpi. Jeden gotuje. Kusze. Skórzane pancerze. Topory – wysyczał w typowy dla siebie lakoniczny sposób.

– Gadali o czymś? – spytałem, marszcząc brwi.

– Nie. Są... – Goblin ze świstem wciągnął powietrze przez nos, jakby próbował sobie przypomnieć zapach porywaczy. – Są spokojni. Opanowani.

– Cholera jasna. Profesjonaści. – Pokręciłem głową.

– Rycerze? – mruknął stary Żychłoń i podrapał się po wielkiej tysej głowie..

– Wojacy. Weterani. Ale nie rycerze – Zwierzak zaprzeczył zdecydowanie i splunął na ziemię zielonkawą śliną. Znałem go od lat i wiedziałem, że u goblinów ma ona taki właśnie kolor, ale coś mi mówiło, że nigdy się do tego nie przyzwyczaję.

– A księżniczka? – przypomniał sobie Urgo. – Cała?

– Cała – przytaknął Zwierzak i znów głośno pociągnął nosem. – Poszczana. Wystraszona. Ale cała.

Obejrzałem się ku Eliahowi, ale cholerny elf tradycyjnie wpatrywał się w niebo i zachowywał się, jakby cała rozmowa

wcale go nie dotyczyła, przenieśliem więc spojrzenie na Gramma. Krasnolud właśnie wybudzał się ze swojej popołudniowej drzemki i mrugał pospiesznie, z niedowierzaniem.

– Co? – stęknął i podrapał się po głowie. – Co się dzieje? Wiemy coś?

Usiadłem pod pniem najbliższej sosny i objąłem ramionami kolana, a potem wsunąłem palce we włosy i przygryzłem wargę. Za plecami słyszałem rechoty rycerzy Ruperta, chlupnęło wino, przekazywane naokoło w bukłaku, co oznaczało, że lada chwila ich dowcipy przybiorą na ciężkości.

– Dajcie mi się zastanowić – mruknąłem.

Podobnych zleceń na koncie mieliśmy już kilka, ale jak dotąd żadne nie wydawało się tak skomplikowane. Z mojego doświadczenia wynikało, że porwania na ogół noszą znamiona prowizorki bądź partactwa, są owocem szalonych decyzji podejmowanych w chwili uniesienia. Lecz tych czterech zbirów – przepraszam, pięciu – najwidoczniej solidnie przygotowało się do zadania.

Księżniczka Matylda została uprowadzona szybko i niepostrzeżenie podczas wieczornego spaceru brzegiem jeziora, a towarzyszącej jej guwernantce, oprócz kilku mocnych klapsów, przekazano również żądanie okupu – tysiąc dwieście złotych mohinów. Pieniądze miały być dostarczone następnego dnia – czyli dziś – dokładnie o zmierzchu. Każdego, kto postanowiłby podejść do gospody wcześniej, czekała śmierć. Gdyby owych śmiałków zebrało się więcej niż kusz porywaczy, śmierć czekała księżniczkę.

Okup miał przekazać któryś z rycerzy Ruperta. Porywacze zażyczyli sobie, by sakwa ze złotem została złożona sto kroków przed wejściem do gospody, a księżniczkę

obiecywali uwolnić dopiero po zapadnięciu zmroku, kiedy to już opuszczą przybytek i oddalą się na należytą odległość.

Trup młodego Naiana, jednego z książęcych pociotków, który postanowił wyzwać porywaczy na rycerski pojedynek i zaskarbić sobie tym samym wieczną chwałę, był najlepszym dowodem na to, że nie żartowali.

Przygryzałem wargę. Atak frontalny nie miał najmniejszych szans powodzenia, co przed chwilą wytknąłem sir Valdanowi. Podkraść się do gospody potrafił tylko Zwierzak i może Elah, ale ich dwóch nie zdołaloby pokonać zdeterminowanej grupy porywaczy.

Spojrzałem na słońce, nieubłagalnie sunące ku koronom drzew. Mieliśmy może dwie godziny. Po ich upływie Valdan miał wręczyć sakwę porywaczom.

Przeszył mnie dreszcz.

Przypomniałem sobie bowiem lodowaty wzrok księcia Ruperta, z którym przed wyjazdem odbyłem krótką, lecz mało przyjemną pogawędkę.

„Żeby kwestia była jasna – wycedził, zaciskając bielejące kłykcie. – Nie mam tysiąca dwustu mohinów. Znaczy się, mam, ale nie stać mnie na to, by je oddać jakimś czterem obsranym obdartusom. Dobrze by było, Kociołek, żebyś jednak moją córuchnę ocalił, bo jeśli się nie wykażesz i Valdan odda moją forszę, odnajdę cię i każę ci ją odpracować. Jeśli zaś spieszysz sprawę i Matyllda zginie... Ech, zamęcę cię, Kociołek, a potem każę cię wskrzesić i dalej będę torturował. Aż mi się znudzi”.

Dupek, pomyślałem, ale wcale mnie to nie pocieszyło.

Oparłem głowę o ciepłą korę sosny i przymknąłem oczy. Chciałem chociaż na chwilę odpocząć od widoku gospody.

Promienie słońca muskały mi twarz. Rozgrzane igliwie pachniało słodko i intensywnie, słyszałem też bzyczenie przemykających nieopodal pszczół. Naszła mnie idiotyczna, zdradziecka wręcz ochota, by się zdrzemnąć, ale nie było na to czasu. Absolutnie nie. Coś mi mówiło, że jeśli akcja odbicia Matyldy zakończy się powodzeniem, nasza sława poniesie się po całej Dolinie. Zajmowaliśmy się wieloma rzeczami – osłanialiśmy karawany, dostarczaliśmy przesyłki, dopadliśmy kilku czubków z przerostem ego i pretensjami do rodzinnych majątków – ale mieliśmy też na koncie kilka akcji odbicia zakładników, za co można było skasować największą stawkę. Różnica polegała na tym, że wcześniej pracowaliśmy dla bogatych kupców. Nigdy dla koronowanych głów, nawet pustych. Jeśli odbijemy smarkulę z rąk tych drani, zyskamy sławę drużyny, dla której nie ma zadań niewykonalnych.

A taka sława rozniesie się błyskawicznie. Wszak Dolina w najszerszym miejscu ciągnęła się na nieco ponad dwieście mil, a w najwęższym na zaledwie czterdzieści. Ziemi tak naprawdę ledwie starczało tu na porządne królestwo, a Waśń podzieliła ją na skrawki bez znaczenia strategicznego, rządzone przez sfrustrowanych, aroganckich książąt, którzy jako jedyne dziedzictwo przekażą potomnym parę akrów ziemi i pretensje do całego świata.

Szykowało się mnóstwo roboty. I kupa forsy.

Otworzyłem oczy i spojrzałem ku gospodzie.

Myśl, ponagliłem się, wbijając wzrok w budynek. Myśl!

Któryś z rycerzy beknął z taką mocą, że z okolicznych drzew poderwały się ptaki. Wywołało to wesołość reszty



pocztu, niestety krótkotrwała, bo Valdan natychmiast sobie o nas przypomniał.

– No, chłopaki – burknął. – Ciekawe, co tam nasze cudaki wymyślają! Może podkop planują, co?

– Żychłoń – szepnąłem. – Masz coś, co można wykorzystać?

– Na nich? – Zapytany odwrócił głowę w stronę gospody i zaczął się energicznie drapać po podbródku, przez co jego broda na moment przybrała postać miotły trafionej piorunem.

Był starym mężczyzną, ale krzepkim i trzymał się prosto. Nosił się po chłopsku – ubierał się w szorstkie, przybrudzone koszule, połatane portki i wyliniałe kożuszki, a na nogi wzuwał chodaki z lipowego drewna. Nie przepadał też za bronią – wspierał się na kij, a za pasem nosił zwykły kozik – mimo to nie chciałbym się znaleźć w skórze tego, kto wzięłyby go za zwykłego dziada. Zawartość sakwy, z którą nie rozstawał się ani na chwilę, w połączeniu z wrodzoną złośliwością Żychłonia mogły znacznie uprzykrzyć życie temu, kto odważyłby się z nim zadrzeć.

– Co ty, Kociołek – prychnął. – Przecież wiesz, czym ja się zajmuję. Guślarzem jestem, na Dolę. Bydło lecę, dekokty warzę, uroki odczyniam. W starciu z tymi porywaczami na niewiele się zdam.

– Toteż nie miałem na myśli porywaczy, ale tych wesołków! – Wskazałem rozbawionych rycerzy.

– O, na tych obwiesiów znalazłoby się to i owo. – Żychłoń zmrużył oczy i wydał wargi, bacznie się przyglądając rozrehotanej grupce.

Nie spodobało mi się to, co dostrzegłem w jego spojrzeniu, i ucieszyłem się, że mam go po swojej stronie. Jak każdy inny przedstawiciel swej rzadkiej profesji wyrósł z gminu i chętnie stawał w obronie własnej społeczności, zwłaszcza gdy miał do czynienia z rycerzami. Nie przepuszczał okazji, by obdarzyć co wredniejszych przedstawicieli tego stanu pechem, czasową impotencją, koszmarami lub przynajmniej sraczką.

– Tylko to potrwa – ostudził mnie guślarz. – Musiałbym mieć coś, co do gościa należy, a potem...

– Dobra. – Machnąłem ręką. – Oszczędź mi wykładu. Potrzebujemy czegoś, co... co... Kurwa, sam nie wiem. Odwróć uwagę porywaczy czy coś...

– To trochę za mało – oznajmił rzeczowo Gramm. Na moment odłożył nóż, którym rzeźbił kawałek drewna, i sięgnął do plecaka, skąd wyciągnął słoik miodu i kawałek chleba. – Ta karczma to solidna budowla, Kociołek. Grube ściany, niewielkie okna, mocne drzwi, gęsta strzecha. Mogliby się tam długo bronić. Możesz odwrócić ich uwagę, ale gównu ci to da. Wysił się, chłopie. Stać cię na więcej.

Nie poznałem w życiu wielu krasnoludów, bo zdecydowana ich większość wychodziła z założenia, że jeśli ktoś ma do nich jakąś sprawę, to powinien się pofatygować osobiście, w związku z czym nigdy nie schodziła do Doliny. Coś mi jednak mówiło, że jeśli choć część z nich ma charakter taki jak nasz Gramm, właśnie i zatargi rodowe w ich thanatach trwają bezustannie. Majster, jak go nazywaliśmy, był wrednym, złośliwym, aroganckim i wyszczekanym draniem, który ani na chwilę nie przestawał udowodniać światu, że jest odeń mądrzejszy, a świat na ogół wołał wówczas

podkulić ogon i dać dyla. Głównie dlatego, że Gramm, by podkreślić swe stanowisko, nader chętnie chwycił za topór.

Westchnąłem ciężko.

– Liczyłem na coś bardziej konstruktywnego – przyznałem. – Na przykład: słuchaj, Kociołek, mam pomysł!

– Pomysł – prychnął krasnolud i wgrzył się w kromkę posmarowaną miodem. – Tutaj by trzeba tarana! Albo paru dni oblężenia! Won! – Odgonił natrętą osę, czym sprawił, że Elish prychnął śmiechem.

– Skoro trzeba ci pomysłu – odezwał się ze śmiertelną powagą Urgo – tedy może ja pomogę. Zwierzak, wyczułeś zapach koni?

Goblin, wpatrzony w kromkę Gramma, po raz kolejny ze świstem wciągnął powietrze.

– Nie – odparł po chwili. – Nie świeży.

– Nie mają koni, a zatem będą uciekać pieszo. – Rycerz spojrział na mnie z tryumfem. – Wtedy ich dopadniemy!

– Wolalbym założyć, że karczmę opuszczą dopiero po transakcji – rzuciłem. – Wówczas Matylda będzie albo wolna, albo martwa. Gdybyśmy wypłoszyli całą zgraję, mogli by zabić księżniczkę, by nie spowalniała ucieczki. Poza tym nie sądzę, by mieli uciekać na piechotę. Założę się, że ktoś po nich przyjedzie. To dobrze zorganizowany napad, przyjacielu.

Rycerz westchnął z przygnębieniem i pokiwał głową.

Siedzieliśmy jeszcze przez moment i przerzucaliśmy się pomysłami, z których tak naprawdę żaden nie miał większego sensu. Obsypanie strzechy płonącymi strzałami nic nam nie dawało, bo porywacze mieliby mnóstwo czasu na reakcję. Wywabić ich na zewnątrz nie dało się w żaden sposób,

wślizgnąć do środka również nie. Z oczywistych względów podkop też odpadał, choć Zwierzak wykazał pewne zainteresowanie tym tematem.

– Bez sensu to wszystko. – Gramm oblizał krótkie paluchy i rozparł się pod sąsiednim drzewem. – Podpisujesz jakieś popieprzone umowy, Kociołek, a potem musimy stawać na uszach, żeby się wykaraskać z tej kabały.

– Popieprzone? – zjeżyłem się. – To właśnie robimy! Od lat, Gramm! Jesteśmy pieprzoną drużyną do zadań specjalnych! W ten sposób zarabiamy na życie! Od lat! Jak coś ci nie pasuje, to...

– To co? – warknął krasnolud.

– Grammowi nigdy nic nie pasuje – przypomniał mi cierpliwie Urgo. – I przestaje marudzić tylko we śnie.

– Co nie zmienia faktu, że tym razem nieźle żeśmy się wpierdolili – burknął krasnolud.

– I wiemy, czym ci pogroził ksiączę – dodał Zychłóń z paskudnym uśmiechem.

Ośłupiałem.

– Skąd to wiecie? – warknąłem. – Przecież rozmawiałem z nim za zamkniętymi... O, wy gnoje – sapnąłem na widok Zwierzaka, który z nagłym zainteresowaniem przystąpił do wydłubywania sobie czegoś spomiędzy palców u stóp. – Posłaliście go za mną?

– Sam polazł – bąknął Urgo, ale zaczerwienił się przy tym tak bardzo, że właściwie nie musiał nic więcej mówić.

Elijah odrzucił głowę do tyłu i parsknął głośnym śmiechem.

– A ty z czego rżysz? – warknął na niego rycerz. – Twoja to sprawa? Już ja cię znam, elfie! Gdy przyjdzie co do czego, rozplynieś się jak pierd na jarmarku!

Oblicze Eliaha na moment zastygło, a on sam w dziwnie nieludzkim odruchu przekrzywił głowę. Zrobiło mi się gorąco. Byłem przekonany, że zaraz się rzuci na Urgo, ale ograniczył się jedynie do pogardliwego uśmiechu, po czym mięśnie jego twarzy się rozluźniły.

Przyznam, że w sumie to się Urgo nie dziwiłem. Eliah towarzyszył nam od ponad roku i wydatnie pomógł w kilku bardziej karkołomnych akcjach, ale coś – być może jego dystans, niechęć do odzywania się lub całe serie niezrozumiałych odruchów – sprawiało, że każdy z nas w głębi duszy kwestionował jego lojalność. Mieliśmy wrażenie, że lada moment się znudzi, odwróci i odejdzie, nie tłumacząc się ani słowem. Z tego, co wiedziałem, Urgo był spośród nas pierwszym, który się zdradził z taką myślą.

Ewidentnie po to, by odwrócić moją uwagę od sprawy poważniejszej.

– Zaraz, żebym ja was dobrze zrozumiał – powiedziałem powoli. – Posłaliście Zwierzaka, by podsłuchiwał rozmowy o interesach? Bo co? Boicie się, że was orznę, czy jak?

– Boimy się, że nas zarzną – odparł Gramm. – I z tego, co widzę, nasze obawy są słuszne. Zwierzak do wygadanych chłopaków nie należy – smagnął kosym spojrzeniem goblina, który w odpowiedzi wywalił język, niepokojąco długi i rozwidlony na końcu – ale przekazał nam parę książących gróźb. Na szczęście skierowanych przeciwko tobie, Kociołek, nie przeciwko nam.

– Czy to ta część rozmowy – Żychłoń oderwał wzrok od coraz bardziej pijanych rycerzy i rozsiadł się wygodnie – w której Kociołek mówi Grammowi, żeby spierdalał, a ten udaje, że to robi, a potem wraca niby po coś, czego

zapomniał i mimochodem podsuwa rozwiązanie? Bo jeśli tak, to się pospieszcie. – Wielką, sękatą dłonią wskazał czerwieniejące słońce, znajdujące się nisko nad koronami drzew.

– Nie, tym razem nie ma mowy – burknął krasnolud i opędził się od osy. – Mówcie sobie, co chcecie, ale ja... Możesz mi tę umowę pożyczyć, Kociołek? Muszę utłuc tę pieprzoną osę, bo znowu mi coś w brodę wlezie i nie będę spał pół nocy!

Siedziałem nieruchomo, wpatrzony w osę kołującą nad kudłatą czupryną krasnoluda. Wreszcie sięgnąłem po pergamin.

– O, Dolo – mruknął Uργο. – Oto Kociołek spełnia prośbę Gramma. I to bez żadnej obelgi. Iście historyczna chwila.

– Tak, to historyczna chwila – burknąłem, rozwijając pismo. – Bo muszę znaleźć jedno jedyne zdanie, od którego zależy nasza przyszłość.

Pospiesznie przemknąłem wzrokiem po tekście i aż westchnąłem z ulgi, gdy znalazłem to, czego szukałem. Na wszelki wypadek przeczytałem ustęp dwukrotnie, westchnąłem raz jeszcze i spakowałem umowę.

– I co? – spytał Uργο.

– Chyba coś mam – powiedziałem cicho i z ożywieniem spojrzałem na Żychłonia. – Zapomnij o chwatach księcia Ruperta. Mam dla ciebie inną robotę.



Zmierzchało. Upał, utrzymujący się przez cały dzień nad ukwieconą łąką, wycofywał się chyłkiem, ścigany falami wieczornego chłodu. Słońce, zdawać by się mogło, szorowało

czerwonym brzuchem o czubki drzew. Na skraju lasu ciągnęły się wąziutkie wąsiki mgieł.

Mimo późnej pory i coraz chłodniejszego powietrza szum owadów był niemalże ogłuszający.

- Zobaczą nas – wyrwało się Żychłoniowi. – Zobaczą nas i...
- Zamknij się – warknąłem. – Zamknij się i chodź!
- Nie nadaję się do tego! Za stary jestem!

Eliah syknął coś, od czego przeszedł mnie dreszcz, a Żychłoń skulił się, jakby ktoś go batem smagnął. Nie po raz pierwszy ucieszyłem się, że elfy to istoty małowówne, bo ich język przekazywał emocje w sposób o wiele bardziej dokładny niż nasz.

– Już dobrze, dobrze – szeptał ledwie słyszalnie guślarz. – Durny elf... – I machnięciem odgonił szerszenia, który z warkotem przeleciał tuż obok jego twarzy.

Uniosłem ostrożnie głowę i wyjrzałem spomiędzy maków, mając nadzieję, że czapka umajona kwiatami zmyli uwagę porywaczy. Co do tego, że wszyscy w napięciu rozglądali się po okolicy, nie miałem wątpliwości. Dobrze wiedzieli, że zbliża się moment przekazania okupu, a więc jeśli ludzie księcia Ruperta planowali akcję odbicia jeńca, mieli ostatnią ku temu sposobność.

Serce waliło mi jak młot. Spodziewałem się usłyszeć ostry, urywany świst bełtu, a potem poczuć uderzenie, które przyniesie niewyobrażalny ból, ale... nic nie poczułem. Nic.

Porywacze naprawdę dali się nabrać na kwiatki, które zebrał Urgo.

Raz jeszcze odetchnąłem, odpychając pokusę przetarcia czoła, i skupiłem wzrok na gospodzie, którą po raz pierwszy oglądałem z tak bliska. Dzieliło nas od niej bowiem pięćset

kroków, może mniej. Oblany fioletem i czerwienią zachodzącego słońca przybytek o wdzięcznej nazwie Pod Rybim Okiem wydał mi się miejscem niemalże niewinnym, tym bardziej że ze środka nie dochodziły żadne odgłosy.

A jeśli dochodziły, to zagłuszało je bzyczenie owadów.

Spojrzałem pytająco na Zwierzaka, który postukał się palcem w nos. Dobra, pomyślałem. Wierzę ci.

Końska mucha usiadła mi na przedramieniu. W ostatniej chwili opanowałem odruch trzepnięcia jej dłonią i rozgniotłem krwio pijąc kciukiem. Bzyczenie pszczoł i os było tak intensywne, że przeszkadzało mi w myśleniu, ale na szczęście nie było o czym myśleć.

Wszystko było dopięte na ostatni guzik. Wchodziliśmy w tę fazę planu, w której zaczynały się liczyć szczęście oraz nasze umiejętności. Gramm, który nawet nie oglądał gospody z bliska, jak zwykle miał rację. Małe wąskie okienka osadzone w grubych ścianach były ledwie widoczne spod strzechy.

Małe, koszmarnie małe.

– Da radę – mruknął Zwierzak, co uświadomiło mi, że ostatnie zdanie wyszeptałem na głos.

– Nie zbliżamy się? – mruknąłem.

Elf wydał wargi, co w jego mowie ciała wyrażało wzgardę, a następnie płynnym gestem zsunął łuk z pleców. Goblin ostrożnie poszedł w jego ślady.

Oba plemiona, choć tak od siebie różne, opanowały strzelanie z łuku do perfekcji, którą my, ludzie, mogliśmy jedynie z zazdrością podziwiać. Łuki elfów, niewysokie, lekkie i smukłe, doskonale nadawały się zarówno do polowań, jak i do wybijania intruzów, tym bardziej że ich przemyślana konstrukcja pozwalała na długie przetrzymywanie



naciągniętej cięciwy. Nieraz zdarzało mi się obserwować, jak Eliah trzyma napięty łuk przez dobrych kilka minut, a jego ramię pozostaje doskonale nieruchome. Z kolei łuki goblinińskie, o wiele mniejsze i na pierwszy rzut oka toporne i koślawe, wyrzucały strzały z siłą ustępującą jedynie ludzkim kuszom, i to zaledwie po lekkim napięciu, dzięki czemu były idealną bronią przeciwko rozmaitym oślizgłym, łuskowatym bydłom zamieszkującym mokradła Skri'i.

Żychłoń wymamrotał jakieś zaklęcia i wykonał kilka znaków dłonią, od czego powietrze natychmiast zgęstniało i stało się parne. Następnie szybkim ruchem otworzył niewielki słoiczek, z którego buchnęło tysiącem woni. Obaj łucznicy zanurzyli w nim groty strzał, a potem błyskawicznie napięli łuki i wypuścili strzały.

Obie zniknęły we wnętrzu gospody, skąd dobiegł nas czyjś krzyk zaskoczenia. Widziałem, jak jeden z porywaczy wyrzwał na zewnątrz, ale jego twarz zaraz znikła – zapewne uświadomił sobie, co się święci.

Ogłuszające buczenie i bzyczenie rozlegające się nad łąkami nagle ucichło po tym, jak chmary pszczół, os, szerszenie, gzów i wszelkiego latającego tałatajstwa, do tej pory kłębiące się nad naszymi głowami, runęły do wnętrza gospody.

– Jeszcze?! – wrzasnął rozochocony Zwierzak, wyciągając kolejną strzałę.

– Nie! – krzyknąłem, zrywając się. – Nie tu!

Uderzenie serca później biegłem już w stronę gospody, rozbrzmiewającej wściekłymi przekleństwami, rykami bólu i rumorem przewracanych sprzętów. W moim ręku, nie wiedzieć kiedy, znalazł się miecz, na ramieniu pojawiła się okrągła tarcza. Już nie czułem strachu, jedynie uniesienie.

Klamka zapadła. Nie było odwrotu. Pozostawało mieć nadzieję, że piątka porywaczy okaże odrobinę przyzwoitości i na widok tysiocy bzyczących i gryzących owadów wpadnie w panikę.

I żaden nie skojarzy tego z próbą odbicia księżniczki, przemknęło mi przez myśl, gdy pędziłem w stronę gospody. Przynajmniej dopóki jej nie odbijemy.

Biegłem jak szalony, potykałem się, przewracałem i znów biegłem. Krzyki w środku stawały się coraz głośniejsze, a wrzawę przebijał wrzask księżniczki.

Żyje!, pomyślałem zasapany. Nadal żyje!

– Hej! – krzyknął ktoś za moimi plecami. – Kociołek!

Odwrociłem się. Goblin wskazywał na Żychłonia, który, choć mężnie próbował za nami nadążyć, klęczał zziębnięty wśród zdeptanych kwiatów i próbował nabrać tchu.

– Mikstura! – wrzasnąłem. – Rzuć tę pieprzoną breję!

Zasapany guślarz pokiwał głową i sięgnął do sakwy. Gdzieś niedaleko łupnęły drzwi. Kątem oka ujrzałem, jak Eliah w biegu wyciąga strzałę, hamuje, napina łuk i...

Znajomy odgłos strzały wbijającej się w ciało, słyszalny nawet pomimo ogłuszającego bzyczenia owadów.

Wywabiliśmy ich!, przemknęło mi przez głowę.

Żychłń wysupłał słoiczek i rzucił go goblinowi, ten mnie, a ja...

A ja uświadomiłem sobie, że z mieczem w jednej ręce i tarczą w drugiej za cholerę nie jestem w stanie go złapać. Instynkt nakazał mi ugiąć kolana, wykonać półobrót i uderzyć w słoiczek tarczą, by posłać go dalej, prosto ku elfowi.

Eliah wyskoczył i złapał go w locie.

O ja pierdole, przemknęło mi przez myśl, a serce ścisnęło mróz. Uświadomiłem sobie, że ponad wszelką wątpliwość

wyczerpaliśmy całe szczęście zesłane nam przez Dolę na najbliższy miesiąc, jeśli nie dłużej.

Pozostawały więc już tylko umiejętności.

Elijah zamortyzował lądowanie przewrotem, gubiąc część strzał, ale zaraz zerwał się do przykłęku, otworzył słóiczek i wpakował do środka groty pozostałych. Potem ujął łuk i obejrzał się na nas. Na jego trójkątnej, bladej twarzy błąkał się nieprzyjemny uśmiech.

Z gospody wytoczył się kolejny porywacz, ledwie widoczny pośród oblepiających go owadów, i natychmiast padł od strzały Zwierzaka. Trzeciego, który wybiegł w ślad za nim, przewrócił wychrypiany z trudem urok guślarza.

Pozostawali dwaj. W gospodzie pełnej strachu i robactwa.

– Elijah! – wrzasnąłem.

Elf natychmiast wyszarpnął strzałę z Żychłoniowego garnczka i puścił ją w stronę skraju lasu, gdzie stały siły księcia Ruperta. Po niej pomknęły kolejne, a każda z nich wywabiała z gospody kolejne chmary bzyzących owadów.

– Co wy, do kurwy nędzy, wyprawiacie?! – darł się skonsternowany sir Valdan, który zmierzał właśnie w stronę karczmy z okazałą sakwą przeznaczoną na okup. – Chcecie...

Nie słuchałem. Zacisnąłem powieki i wtargnąłem do środka, zasłaniając się tarczą. Ktoś wpadł na mnie i niemalże wypchnął mnie na zewnątrz. Słyszałem bzyczenie, ciało zapłonęło mi dziesiątkami użądleń, ale pozostało posłuszne odruchom. Pchnąłem napastnika pod zebro i z furią odrzuciłem jego ciało na bok.

Owady, oszalałe od zapachu Żychłoniowej maści, w zdecydowanej większości zdążyły już opuścić izbę. W świetle zamierających promieni słonecznych ujrzałem ostatniego

z porywaczy – miał napuchniętą, straszliwie pokąsaną gębę. Gdy nieznacznie opuściłem tarczę, ujrzałem, jak dopada do słupa, do którego przywiązano struchlałą, pobladłą i nieludzko pokąsaną Matyldę. Paskudnie zakrzywiony nóż, który trzymał mężczyzna, dotykał skóry na szyi księżniczki.

– Na Dole, na Dole, na Dole – bełkotała dziewczyna.

– Cicho! – zawołał bandyta. – A ty ani kloku talej! – wysepleniał, przenosząc na mnie półprzytomny, zbolały wzrok. – Bo lozpluję tej kulwie galdło!

Zatrzymałem się i opuściłem broń jeszcze niżej.

– Wyzuś mies! – polecił mi porywacz. – I wyjsz stat. Ić to sweko pana i powies mu, sze...

Krótką, grubą strzałą, zakończoną grotem przeznaczonym do przebijania łuskowatych pancerzy, wgrzyła się w jego skroń i wyszła po drugiej stronie głowy, obryzgując Matyldę krwią. Księżniczka kwiknęła, straciła przytomność i popisowo zwiśla w więzach.

Odetchnąłem ciężko i potrząsnąłem głową, próbując mimo wszystko zachować spokój. W ciszy, która zapadła, słyszałem szum własnej krwi w skroniach i odległe wrzaski wojaków księcia Ruperta, toczących boje z robactwem. Kilka uderzeń serca później dobiegły mnie ciche kroki Eliaha, słyszalne jedyne dla kogoś, kto spędził w jego towarzystwie kilka długich miesięcy, a potem dyskretne, zwierzęce warknięcie, które również nauczyłem się rozpoznawać. Odwróciłem się błyskawicznie i zobaczyłem, jak elf przygniata kolanami porywacza ugodzonego przeze mnie pod żebro. Człowiek jęknął słabo, chrapliwie, a z jego wykrzywionych ust buchnęła krew.

W dłoni elfa zabłysło ostrze.

– Nie – zaprotestowałem. – Oszczędź go. Uwolnij młodą i połóż ją na ławie. Zwierzak – zwróciłem się do goblina, który tryumfalnie szczyrzył zęby w okienku gospody – zawleczy trupy w jedno miejsce. Tak, możesz je obrabować. Żychłoń, opatrz tego gnojka – wskazałem rannego bandytę – a potem zwiąż i zaknebluj. Uργο i Majster już wrócili?

– Nie – odparł guślarz, oparty o framugę z dębowej kłody. Wytarł spoconą twarz w wielką chustę, a potem uklęknął przy porywaczu. – Kto go tak sprawił? Ty, Kociołek?

– Ja – burknąłem bez satysfakcji, czego bynajmniej nie należało tłumaczyć względami moralnymi. Parokrotnie już musiałem odbierać ludziom życie i zdążyłem się do tego przyzwyczaić, a to, że w zdecydowanej większości walczyliśmy z kanaliami i szumowinami, z pewnością przyspieszyło ów proces. Teraz po prostu byłem zmęczony. Walką, planowaniem, wielogodzinnym napięciem. I cholernie bolało mnie od ukąszeń.

Przez moment tępo patrzyłem, jak Eliah układa nieprzytomną księżniczkę na ławie i przygląda się jej z tą swoją nieprzyjemną, osobliwą miną; jak pogwizdujący wesoło Zwierzak wywleka trupa za próg, a Żychłoń sprawnie bandażuje bok półprzytomnego, pojękującego porywacza. Miałem ochotę się położyć, zamknąć oczy i spać, spać w nieskończoność, ale nasza praca nie dobiegła jeszcze końca.

W tej sytuacji mogłem zrobić tylko jedno.

– Co robisz? – Żychłoń uniósł głowę i przetarł czoło zakrwawionym przedramieniem. Uważnie obserwował, jak opieram o ścianę miecz i tarczę.

– Idę coś upichcić.



Gospoda okazała się porzucona, co oznaczało, że moja wstępna ocena była słuszna. Jej właściciel, zapewne po kilku miesiącach wypatrywania na próżno tłumów klientów, ostatecznie opuścił przybytek z solennym postanowieniem, że decyzję o lokalizacji następnej karczmy podejmie na trzeźwo.

Porywacze urządzili się w kuchni – starli kurze z blatów, omietli pajęczyny i rozstawili sporo sprzętów, a w piecu nadal się żarzyło. Zaczepnąłem wody z beczki na deszczówkę, wymyłem cynowe talerze, rozdmuchałem ogień, a potem wybełtałem jajka, dosypałem soli, pokroiłem suszoną kielbasę i cebulę. W końcu tryumfalnym gestem uniosłem patelnię.

W miarę jak po ciemnej kuchni rozchodził się wspaniały zapach jajecznicy, moje znużenie, mieszanina różnych trosk i resztki napięcia zaczęły się ulatniać.

– Jesteśmy, Kociolek! – Urgo zajrzał do kuchni. – Mamy sir Valdana! Wyobrażasz sobie, że miałaś rację? Naprawdę chciał zwiąć!

– Wyobrażam sobie. Pokrój chleb i wołaj chłopaków.

Kolacja, spożyta w blasku i ciepłe wesoło trzaskających płomieni i podlana saganem pozostawionego przez porywaczy piwa, okazała się wspaniałym zwieńczeniem naszych wysiłków. Moi towarzysze na ogół znosili akcje bojowe lepiej ode mnie i nie popadali w apatię – zajadali więc, aż im się uszy trzęsły, śmiali się, przechwalali się swoim męstwem i co rusz wznosili donośne toasty. Na które, w miarę jak piwo uderzało mi do głowy, odpowiadałem coraz chętniej, tym bardziej, że ukąszenia, posmarowane jakimś specyfikiem

Żychłonia, nie dokuczały mi już tak bardzo. Urgo nie przestawał kręcić głową z niedowierzaniem, Gramm jadł i pił z takim zapałem, że na długą chwilę zapomniał o narzekaniu, Żychłoń z dumą wyliczał ingrediencje mikstury wabiącej owady, Zwierzak podśpiewywał i gwizdał, przerywając tylko po to, by ponownie wylizać talerz, a Eliah uśmiechał się tajemniczo i kiwał głową do własnych myśli.

– Niech żyje Kociołek! – huknął Urgo i podniósł kufel.

– Niech żyje! – podjęli pozostali. Nawet Eliah, na ogół gardzący zwyczajami innych plemion, uniósł lekko kufel.

Nie wszyscy podzielali nasz entuzjazm. Ranny porwacz skwapliwie pochłonął swą porcję i zaległ na ławie pod oknem, wwiercając się w okopconą powalę ponurym spojrzeniem. Podobne dostrzegłem u sir Valdana. Zgodnie z moimi przewidywaniami dzielny kuzyn księcia Ruperta, widząc naszą akcję, podjął spontaniczną próbę ucieczki z trzosem pełnym złota. Udaremnili ją Urgo z Grammem, którzy – jak wywnioskowałem z licznych sińców i zadrapań na facjacie rycerza – nie poskąpili mu przy tej okazji kułaków. Jakby tego było mało, honor rycerski nie pozwalał mu na zjedzenie jajeczniczy przyrządzonej przez nowego wroga, a po takiej ilości wypitego wina w brzuchu zapewne boleśnie go ssało. Siedział więc nieruchomo, gromiąc nas wzrokiem, to łapiąc za łyżkę, to znów ją puszczając, aż jego dylematy rozwiązał Zwierzak, który capnął rycerską miszkę i spałaszował jej zawartość.

Równie nieswojo prezentowała się księżniczka Matylda. Ona także nie tknęła posiłku. Z początku zrzuciłem jej ponury nastrój na karb niedawnych doświadczeń, ale szybko odkryłem, że prawda jest inna. Nasz goblin zwiadowca się

nie pomylił: księżniczka w istocie była poszczana, a zapasowej sukni porywacze dla niej nie wzięli.

Jej jajecznicę gwizdnął Gramm.

– Gdybym nie poznał twego wielkiego serca, cny rycerzu – zwróciłem się do sir Valdana – pomyślałbym, że masz do nas jakieś pretensje. O co takiego, ciekawym? Może o to, że postanowiłem zadbać o własne interesy i przeszkodzić wam w ucieczce?

– Nie miałem zamiaru uciekać! – huknął zaczerwieniony rycerz.

– Miałeś – burknął Uργο. – Tylko że ci to nie wyszło.

– Moje plemię powtarza, że kradzione złoto waży dwakroć więcej – dorzucił Gramm.

– Kraść niczego również nie miałem zamiaru! – oświadczył dobitnie ksiązący kuzyn.

Roześmiali się wszyscy poza księżniczką, nawet Eliah.

– Nie będę w to, cny rycerzu, wnikać. – Pojednawczo machnąłem ręką. – Nie interesuje mnie to, czy z góry skazałeś naszą akcję na niepowodzenie i postanowiłeś czmychnąć z sakwą, niby zabraną przez porywaczy, czy też uznałeś, że zaczekasz na wynik operacji, a w razie jej powodzenia każesz nas wymordować, by przejąć honorarium. Jak widzisz, zabezpieczyłem się na obie okoliczności, a żeby uchronić cię przez kolejnymi zgubnymi pomysłami, odprowadzimy zarówno ciebie, jak i Matyldę bezpośrednio do zamku księcia.

– A ja ułożyłem o tobie piosenkę – dodał niewinnie Żychłóń. – Zwykłą rymowaną, żeby każdy zapamiętał. Śpiewać nie umiem, ale tylko czekać, aż ktoś wymyśli melodię.

Rycerz zmiażdżył guślarza spojrzeniem groźniejszym od moru i podatku nadzwyczajnego, po czym przeniósł wzrok na mnie i prychnął jak hipopotam.



– Chcecie nas zabrać na Sokolnik? – Wydał wargi. – Cóż, znakomity pomysł. Chcę być przy tym, gdy ujrzysz, jak kończy się książęca łaska. Chcę być przy tym, jak książę zobaczy swą ongiś nadobną córkę, teraz oszpeconą, z gębą jak u trędownatego, spaskudziałą i...

– Sameś, kulwa, oscepsony! – wrzasnęła Matyllda i rąbnęła Valdana cynową misą w gębę. Rycerz stęknął, zachwiał się i zwałił na podłogę.

– Teraz to już na pewno – uznałem, wyciągając zza pazuchy pergamin z umową. – Chociaż nosy się zrastają. Z czasem. Jeśli zaś, rycerzu cny, w istocie troszczysz się o to, jak książę odbierze ewentualne straty na urodzie córki, wiedz, że wedle osiemnastego punktu naszego kontraktu... Czekaj, znajdę ci to... O, mam. „Za sukces misji uważa się okoliczność, w której Porwanej w sposób nieulegający wątpliwości przestaje grozić niebezpieczeństwo ze strony Porywaczy, pozostaje ona przy życiu i nie odniosła trwałych szkód na zdrowiu oraz na umyśle”. Sprawdziłem to dokładnie przed rozpoczęciem operacji. Ukąszeń spowodowanych przez owady trwałym urazem nazwać się nie da. Przypuszczam, że ślady znikną na długo przed tym, jak dotrzemy na Sokolnik, zwłaszcza że nasza maść działa szybko.

Zduszony, wściekły pomruk kazał sądzić, że sir Valdan chciałby sprzeczać się dalej, nawet jeśli nie był w stanie sformułować merytorycznych argumentów.

– Jeśli zaś uważasz, że doznałeś ujmy na honorze – ciągnąłem – zatrzymaj sobie tego jeńca. Książę z pewnością cię wynagrodzi i chętnie wysłucha opowieści, na jakie to szczyty waleczności się wspiąłeś, by go zatrzymać.

Czułem na sobie zaintrygowane spojrzenia towarzyszy, ale zanim ktokolwiek zdołał zadać pytanie, Zwierzak uniósł głowę i zastrzygł uszami.

– Ktoś jedzie. Kilka koni.

Serce zabiło mi szybciej.

– To ci od porywaczy! – Zerwałem się. – Do broni!

Po izbie poniósł się tupot stóp, szczęk podrywanej broni i rumor odsuwanych mebli. Żychłóń przypadł do jeńca i sprawdził mu więzy, Urgo poderwał Valdana z podłogi. Gramm zatrzymał mnie czujnym spojrzeniem.

– Barykadujemy się? – zapytał.

– Nie – rzuciłem. – Nie wiem, kto to, ale lepiej, by wiedział, z kim ma sprawę. Żychłóń, pilnuj księżniczki. Valdan, z nami.

Wypadliśmy w zamgloną noc, chłodną i wonną. Wokół ognisk książęcej drużyny, rozpalonych na skraju lasu, panowała już cisza, przerywana od czasu do czasu bolesnym przekleństwem. Pohukiwały sowy, rechotały żaby. Ziemia drżała pod kopytami zbliżających się koni.

W blasku wąskiego sierpa księżycy widać było, że tylko trzech z nich dosiadają jeźdźcy, a sześć pozostałych to luzaki. Jechali ostro, dopiero w połowie wzgórza zaczęli zwalniać, po czym się zatrzymali.

Uniosłem zabraną po drodze pochodnię i machnąłem mieczem. Urgo wsparł się na ciężkiej włóczni, a Gramm ujął w obie dłonie ciężki młot. Eliah i Zwierzak napięli łuki, Valdan zaś, któremu nieoczekiwany podarunek mocno poprawił humor, założył ramiona na piersi okrytej blachą.

Zapadła pełna napięcia cisza.

– Strzelamy? – syknął elf.

– Nie – odparłem. – Póki istnieje choć cień szansy, że to przypadkowe spotkanie, nie strzelamy.

Już miałem wystąpić i zakrzyknąć do nowo przybyłych, gdy niespodziewanie jeden z nich zawrócił i odjechał, a po nim pozostali. Odetchnąłem z ulgą. Poczułem, jak opuszcza mnie napięcie, z którego nawet nie zdawałem sobie sprawy.

– I niech was szlag trafi. Wracamy do domu – zarządziłem, starając się, by mój głos brzmiał mocno i pewnie, po czym udałem się w stronę gospody.

W progu stał Żychłóń z niewyraźną miną. Spoglądał tam, gdzie zniknęli intruzi, i bezwiednie szeptał jakieś słowa pod nosem. W ciemnościach nie mogłem mieć pewności, ale wydawało mi się, że pobrał.

– Wiesz, co to byli za jedni? – spytałem.

– Nie – skłamał guślarz.





## 2

Nic z tego cholernego dziada oczywiście nie wyciągnąłem. Żychłoń zbywał mnie, próbował mi wcisnąć, że się pomyliłem, obracał wszystko w żart, a potem oświadczył mi wprost, że niczego nie pamięta, bo było ciemno.

Cóż, na tym etapie musiałem uznać, że stary guślarz po prostu nie chce mi niczego powiedzieć, a to oznaczało, że mogę zapomnieć o sprawie. Kiedy Żychłoń się zawziął, nie dało się z niego wyciągnąć prawdy ni prośbą, ni groźbą, musiałem więc stłamsić w sobie niepokój i uznać, że to, co wydarzyło się przed gospodą, nie miało dla nas znaczenia.

Liczne problemy sprawiły, że szybko zapomniałem o sprawie. Najważniejszym z nich był oczywiście sir Valdan, który przekazał więźnia swoim pokłutym i pokąsanym żołnierzom, a potem znów się na nas wziął. Tym razem nie spodobało mu się to, że należne nam z tytułu wypełnionej umowy honorarium postanowiłem pobrać samodzielnie z funduszy przekazanych rycerzowi przez samego księcia. Kierowała mną zapobiegliwość – doświadczenie podpowiadało mi bowiem, że spotkanie z ukochaną córką oraz inne ważne obowiązki mogą pochłonąć Ruperta na tyle, że na wypłatę będziemy musieli długo czekać. Lub, nie daj Dolo, pojawią się jakieś ważne wydatki – jak choćby wystawny

turniej z okazji ocalenia Matyldy – i księżę zapłaci nam wówczas ciepłym słowem.

Sir Valdan oczywiście mojej zapobiegliwości nie rozumiał i określał ją wieloma obelżywymi słowami, na co Żychłoń, chcąc skierować jego myśli na inne tory, zesłał na niego kilka kurzajek i potworny wprost katar. Zasmarkany, utykający i mający problemy z siedzeniem rycerz nigdy się nie dowiedział, że i tak mu się poszczęściło, gdyż stary guślarz potrafił się zdobyć na o wiele większą złośliwość. Co więcej, dotknięty do żywego Urgo już się szykował, by wyzwąć go na pojedynek. Valdan schował się jednakże za naszymi plecami, bo księżniczka Matylda, która zrozumiała w końcu, że nikt nie ma zamiaru sprezentować jej nowej kiecki w miejsce obsikanej, uznała, że nadeszła pora, by się na nas zemścić.

Przez dobre dwa dni narzekała, marudziła, krzyczała, płakała, próbowała uciekać, a raz czy drugi zmusiła się do wymiotów. Żychłoń, którego wyzwala od „dziada capiącego jak zdechły kozioł”, zaczął już gromadzić ziółka na dekokt, gdy wpadłem na pomysł, by przekazać księżniczkę pod opiekę Eliaha. Nie mam pojęcia, jak bardzo towarzystwo milczącego elfa mordercy, wpatrującego się w nią dziwnie i wybuchającego śmiechem w losowych chwilach, wpłynęło na psychikę dziewczyny, ale przynajmniej się zamknęła na resztę drogi.

Przywitanie z grupą rycerzy wysłanych nam na spotkanie przez księcia Ruperta było więc niemalże zdawkowe. Przekazaliśmy Matyldę i natychmiast wyruszyliśmy w dalszą drogę, ku niezadowoleniu Zwierzaka, który nie zdążył nic nikomu podwędzić.

Szybko się jednak rozpozgodził. Wracaliśmy wszak do domu.



Dla drużyny prowadzącej taki tryb życia jak nasza prawdziwy dom jest rzeczą niezbędną. Musieliśmy mieć przecież jakąś ostoję bezpieczeństwa, ciepłe schronienie ze szczelnym dachem, wygodnymi łózkami i smaczną kuchnią, by nie zdziczeć i nie oszaleć. Gotów byłbym nawet zaryzykować stwierdzenie, że dom – nie nora, jama czy jaskinia, ale właśnie dom – był tym, co różniło nas od band najemnych zbirów, których tyle włóczyło się po Dolinie.

Wierzyłem w to tak mocno, że bez chwili wahania oddałem drużynie swój własny.

Cóż, należy przyznać, że nie przyszło mi to z trudem. Dola obdarzyła mnie bowiem całkiem sporą sadybą – tak dużą, że upchnąłbym tam jeszcze kilka takich drużyn wraz z końmi i małym smokiem.

Karczmę Pod Kaprawym Gryfem wznosił jeszcze mój dziad Edgar. Zadbał o mocne fundamenty, przepastne piwniczki, grube ściany i wytrzymały dach, a do tego skupił się na dobrym jadle i napitku, dzięki czemu interes zaśląnął w całej okolicy i po kilku latach przyniósł dziadkowi niezłą fortunę. Jego syn, a mój ojciec, Edvard, prowadził karczmę z równym powodzeniem, jednak czas prosperity przerwała inwazja Złego, kiedy to w ojcu obudził się panikarz. Oczywiście Złe nigdy nawet nie zbliżyło się do naszych okolic, ale ojciec postanowił zabezpieczyć się na taką okoliczność i dobudował nad karczmą dwa kolejne piętra, które zwieńczył blankami, a całość otoczył kamiennym murem obronnym. Wpakował w tę inwestycję wszystkie rodzinne oszczędności, co okazało się nie tylko zbyteczne, lecz także wysoce

niefortunne, gdyż niebawem interes siadł. Przez dobry rok kupcy podróżowali nader niechętnie, możnowładcy nakładali dodatkowe podatki, by zrekompensować sobie koszty poniesione w związku z wojną, a na domiar złego tu i tam wybuchła zaraza. Po kilkunastu miesiącach wszystko wróciło do normy, ale ojciec zmarniał i podupał na zdrowiu. Nigdy już nie odzyskał radości życia. Zmarł kilka lat później, a interes przejęła moja matka Triv, kobieta niezłomna i niezniszczalna. Pomagałem jej ze wszystkich sił, ale jakiś czas później rozpoczęła się Waśń, a ja, po części z konieczności, a po części z nadziei na wielką męską przygodę, zaciągnąłem się do wojska.

Służba w wojsku księcia Stefana okazała się jednocześnie najlepszą i najgorszą rzeczą w moim życiu, o czym chętnie opowiem przy innej okazji. W każdym razie po zakończeniu Waśni, gdy matkę zabrało zapalenie płuc, stałem się właścicielem małego zamku pełnego szczurów, nietoperzy i przewiewów.

Naszego zamku.

Różnie go nazywano. Miejscowi wołali nań Gryf, dla kupców i wędrowców wciąż była to karczma Pod Kaprawym Gryfem, w mieście z przekąsem mówiono Kloc. Fakt, ojcu bardziej zależało na funkcjonalności niż estetyce, ale dla nas był to dom i basta. Stąd też na widok poletka ziemniaków i ciągnących się wzdłuż murów sadów jabłkowych serce zabiło mi żywiej, Uργο klasnął w dłonie, a Zwierzak gwizdnął z radością.

Spomiędzy drzew wybiegł mały chłopiec z koszykiem jabłek. Na nasz widok stanął jak wryty, następnie upuścił koszyk i wrzasnął:



– Tata! Tata wrócił!

Wspominałem już, że mam rodzinę? Nie? Cóż, mam.

Tradycyjnie porwałem w ramiona trójkę moich dzieci – które równocześnie dopominały się o uwagę i które z roku na rok coraz trudniej było mi dźwignąć – po czym poniosłem do miejsca, gdzie jak zwykle czekała Sara.

– Uff, aleście wyrosli! – stęknąłem, podnosząc ośmioletnią Salię, która wtuliła się we mnie ze wszystkich sił, wycalowała skrupulatnie oba policzki, a potem cofnęła się z niesmakiem.

– A ty śmierdzisz! – stwierdziła.

– Czy ty musisz być dokładnie taka jak twoja mat... – zacząłem, ale nie dokończyłem, bo dwaj bracia Salii, sześciolatni Edvin i dwa lata od niego młodszy Nuut, dopadli mnie z dwóch stron, śmiejąc się i płacząc jednocześnie. Pozwoliwszy Salii nadal mnie obłapiać i tulić, dźwignąłem obu chłopców i zataczając się pod ich ciężarem, ruszyłem w stronę tylnego wejścia do karczmy prowadzącego do kuchni.

Wedle mojej prywatnej filozofii mężczyzna powinien raz na jakiś czas opuścić dom rodzinny i nie mam tu na myśli przeżywania męskich przygód, samorozwoju czy innych bzdur. Powinien wyjść po to, by porządnie zatęsknić za bliskimi, a potem, wróciwszy, ponownie zachwycić się tym, jaką ma cudowną żonę.

Sarę zastałem przy pieczeniu chleba. Miała na sobie powalany mąką fartuch, białe smugi znaczyły nawet jej czoło, ale nigdy w życiu nie wydała mi się piękniejsza, zwłaszcza że nieświadomie przybrała tę samą pozę, w której witała mnie za każdym razem, gdy wracałem po akcji. Oparła pięści na biodrach i przechyliła lekko głowę, uśmiechając się, jakby zamierzała ofuknąć mnie za jakiś figiel.

– No, złaćcie ze mnie, wy gady, zaskrońce, ropuchy przekropne! – stęknąłem, strżając z siebie dzieciaki. – Muszę się z waszą mamą przywitać!

Bez większego trudu uwolniłem się od Salii, trudniej było z Edvinem, a walka z Nuutem była z góry skazana na niepowodzenie. Najmłodszy synek wpił się we mnie z takim zapamiętaniem, że westchnąłem z udawaną zgryzotą, poprawiłem go sobie na biodrze i podszedłem do Sary.

– Wróciłem – oznajmiłem donośnie, mając nadzieję, że mnie usłyszysz, bo Edvin i Salia bezzwłocznie rozpoczęły wokół nas dziki taniec radości, nie szczędząc przy tym płuc.

– Twoje szczęście – warknęła Sara.

Przesunąłem nieco Nuuta i podtrzymując go jedną ręką, przytuliłem żonę drugą. Ech, nie będę ściemniał – nie ma nic piękniejszego niż zapach ukochanej kobiety po długiej rozłące. Nie ma nic cudowniejszego od dotyku jej jedwabistych włosów. Nie ma lepszej nagrody od smaku jej ust, nie ma...

– Śmierdzisz – oznajmiła Sara.

– Eee... No cóż – bąknąłem. W istocie, nie miałem podstaw, by szukać kontrargumentów.

– Tata wrócił! Tata wrócił! – darły się dzieciaki.

Sara odsunęła się ode mnie z udawaną odrazą, pocałowała mnie w zarośnięty policzek i ponad moim ramieniem spojrzała na drużynę, wciąż stojącą przed drzwiami. Udawała, że liczy.

– Znowu wróciliście w komplecie – burknęła. – Szlag by to.

Żychłóń uklonił się nisko, Gramm wydał wargi, a Urgo powiódł wzrokiem po pozostałych, jakby nie wiedział, czy moja żona mówi na serio, czy też nie. Wtedy Salia i Edvin przypomnieli sobie o mojej drużynie – wrzasnęli

ze zdwojoną siłą i rzucili się ku chłopakom, nie przerywając dzikiego tańca. Poczulem, jak coś się ode mnie odczepia. Nuut z rykiem podążył za rodzeństwem, potykając się o własne nogi.

– Cudownie być w domu – powiedziałem głosem łamiącym się ze wzruszenia. – Akcja udana, tyle tylko ci powiem. Zgarnęliśmy całe honorarium! Sto osiemdziesiąt mohinów!

Poklepałem się po brzęczącej sakwie i znów wyciągnąłem ramiona, by objąć żonę, ale ta wykonała zwinny unik.

– Uczcij więc tę chwilę kąpielą – oznajmiła, ale puściła do mnie oko.

Dzieciaki się darły i tańczyły, a do wrzawy dołączyły okoliczne psy. Kątem oka widziałem, że Zwierzak dał się ponieść radości i płażał razem z Salią, Edvinem i Nuutem. Sara odwróciła się z naturalną gracją, zarzuciła włosami i ruszyła w stronę izby gościnniej, kręcąc tyłeczkiem. Gdzieś nade mną otworzyło się okno. Stałem wciąż w kuchni, ale mogłem sobie wyobrazić, jak Andrea, moja teściowa, z obrzydzeniem spogląda na powstałe zamieszanie. Mój domysł potwierdziło trzaśnięcie zamykanych okiennic.

Cudownie było wrócić do domu.



Edvin chciał się dowiedzieć, jak długo zostanę. Salia dopytywała się, czy coś jej kupiłem, a Nuut opowiadał o tym, ile znalazł ślimaków. Potem całej trójce przypomniało się, że przed moim wyjazdem budowaliśmy w ogrodzie katapultę, i zapragnęli ją dokończyć, koniecznie teraz.

– To trzeba z wujkiem Grammem pogadać, bo on... – zacząłem.

– Ale Edvin pogubił kołki! – wtrąciła Salia.

– Nie pogubiłem! – zaperzył się mój starszy syn. – Dałem je tylko Nuutowi do potrzymania, a on potem nie chciał jeść kaszki i wywalił je ze złości w pokrzywy!

– Wcale nieee! – Nuut się rozplakał. – Oni kłamiąąą!

Wsluchiwałem się w kłótnię jeszcze przez moment, nuczony doświadczeniem, że za kilka dni już nie będę im się przysłuchiwał z taką lubością, po czym wygoniłem dzieciaki do ogrodu i zabrałem się do napełniania balii. Chwilę później moczyłem się już, szczęśliwy jak rzadko, pieszcząc się myślą o zbliżającej się kolacji.

Na tę, zgodnie z naszą tradycją, złożyła się zupa cebulowa oraz ziemniaki ze skwarkami i zsiadłym mlekiem. Jeśli istniało na świecie coś wspanialszego, nie miałem o tym pojęcia, nawet jeśli Sara mogła sypnąć ciut więcej soli do zupy. Wsluchiwałem się z uwielbieniem w ciamkanie, mlaskanie i westchnienia zachwytu, co rusz dobywające się z ust moich towarzyszy, a w myślach układałem mowę, którą planowałem zwieńczyć operację.

W końcu, gdy Zwierzak wylizał własną miskę, a następnie miski sąsiadów, a na stole pojawiła się butelka wina, Sara westchnęła i wstała.

– Edvin, Salia, Nuut! – oznajmiła. – Myć się i spać.

– Ale my chcemy posłuchaaać! – jęknęły chórem dzieci.

– Ależ tu nie ma nic do słuchania! – Zmarszczyłem brwi z udawanym zdziwieniem. – Mamy tu z wujkami kilka spraw do omówienia, a potem też pójdziemy spać!

– Ale my chcemy posłuchaaać!

– To bardzo nudne, dorosłe sprawy. Poza tym sami jesteśmy już bardzo zmęczeni. I musimy pozmywać. I...

– Ale my chcemy posłuchaaaaaać!

– Już! – warknęła Sara i całą trójkę dosłownie wymiotło.

Moja żona wyszła za nimi na korytarz, kręcąc przy tym głową, nie wiadomo, czy z rozdrażnienia dziecięcym nieposłuszeństwem, czy z politowania nad żalonym męskim autorytetem.

– Dobra, przechodzimy do interesów – oznajmiłem twardo, próbując zatuszować w ten sposób ewidentną porażkę w starciu z dziećmi. – Urgo, polej wszystkim. Żychłoń, zapal jeszcze kilka świec. Oto – rzuciłem z brzękiem sakwę na stół – nasza zapłata. Sto osiemdziesiąt mohinów od księcia Ruperta!

– Dużo forszy! – zawołał Zwierzak z niedowierzaniem, zupełnie jakby nikt wcześniej mu nie powiedział, że celem wszystkiego, co robimy, jest zarobek.

Żychłoń odetchnął ciężko, jakby i on w to do końca nie wierzył, a Gramm klasnął w dłonie i głośno się zaśmiał.

Wysypałem monety na stół i z namaszczeniem ułożyłem sześć równych stosików, a następnie przesunąłem je w stronę przyjaciół. Zamyślony Eliah na należną mu dołę nie zwrócił uwagi, Gramm złapał swoją łapczywie, Zwierzak obwąchał kupkę monet z zainteresowaniem i przeliczył, Żychłoń z chichotem wsypał otrzymane monety do sakiewki, a Urgo zmierzył swój stosik z nieufnością i po chwili namysłu odsunął go od siebie.

– Nie robię tego dla pieniędzy – oznajmił.

Wywróciłem oczami. Znowu to samo.

– Przyjmij więc to złoto jako dar Doli – powiedziałem. – Jako dowód na to, że docenia twą niestrudzoną walkę o dobro i sprawiedliwość. Oraz jako wyraz troski o ciebie.

– Troski? – Rycerz zmarszczył brwi.

– Kup se lepsze blachy! – zachichotał Zwierzak i postukał kłykiem w zardzewiały naramiennik rycerza.

– Ewentualnie – Gramm splótł palce – mógłbyś zainwestować te pieniądze w moją przyszłość.

– Raczej terazniejszość, pijaku jeden – bąknął Żychłoń, ale na tyle głośno, by krasnolud go usłyszał.

– Że co? – zacierzawił się. – Od pijaków będziesz mi wymyślał, badylu ty? Ziołobajtlu niewydarzony? Tak, mam w zwyczaju uczcić sukces operacji kieliszkiem czy dwoma, ale ja przynajmniej upijam się z klasą! Czy ktoś z was widział, żebym się porzygał? Czy ktoś słyszał, bym śpiewał jakieś bezecenstwa?

Tylko Zwierzak siedział wystarczająco daleko od krewkiego krasnoluda, by móc bezpiecznie parsknąć śmiechem. Cała reszta z przekonaniem pokręciła głowami.

– Durnie jesteście i tyle – rzucił Gramm, nieco udobruchany.

Tego też lubiłem słuchać. Dopóki wszyscy sobie dogrywali, dopóty nadal stanowiliśmy zespół. Nadchodził jednak czas, by usłyszeli przełomowe słowa.

– To była ważna akcja, nie tylko ze względu na zarobek – oświadczyłem. Wszyscy wyczuli powagę w moim głosie i zapadła cisza, zakłócana jedynie symfonią świerszczy za oknem i marudzeniem kilku pijaków na ławkach przed karczmą. – Ta akcja... – urwałem i zapatrzyłem się w promień świecy, szukając odpowiednich słów. – Ta akcja była

z góry skazana na niepowodzenie, a mimo to się udała. Po-  
dołaliśmy misji niemożliwej. Cała Dolina się o tym dowie,  
choć sir Valdan i księżniczka Matylda nie zachowają do-  
brych wspomnień.

W sali rozległy się śmiechy. Urgo uniósł rękę w milczą-  
cym toaście, a w jego ślad poszli pozostali. Napiliśmy się  
wina.

– Dolina to małe miejsce – podjąłem. – Wiecie, co myśmy  
tą akcją osiągnęli?

Wszyscy pokiwali głowami, nawet Eliah spojrział na mnie  
uważnie. Tak, odpowiedź na to pytanie nasuwała się sama.

Osiem lat temu rządzący Królestwem Doliny owdowia-  
ły król Rodryk zaginał na polowaniu, co samo w sobie nie  
było jeszcze niczym tragicznym. Nie był władcą idealnym  
i średnio raz do roku strzelały mu do głowy pomysły wprost  
idiotyczne, ale nigdy nie pchnął królestwa do niepotrzebnej  
wojny, a dwukrotnie obronił jego granice, raz przed Złym,  
które spelzło z Gwiżdżących Gór, a potem przed swoim wu-  
jem Godfrydem, królem Topierzysk, który miewał własne  
idiotyczne pomysły. Za jego rządów handel miał się dobrze,  
sztuka jeszcze lepiej, a elfy, krasnoludy i gobliny nie wzdra-  
gały się przed zapuszczaniem się do ludzkich dziedzin.

Niestety, jeden z legendarnych idiotycznych pomysłów  
króla został zrealizowany kilka miesięcy przed jego śmie-  
cią – spisał bowiem testament, w którym podzielił władztwo  
między swoich synów. Tych spłodził aż pięciu, a do tego trzy  
córkę. W suto podlewanych winem wyobrażeniach widział  
Dolinę jako konfederację małych państweczek, których wład-  
cy, połączeni więzami krwi, będą panować po wsze czasy  
dla dobra obywateli.

I to było pierwszym popełnionym przezeń błędem. Błędem tak ogromnym, że zadawałem sobie czasem pytanie, czy nie mylimy głupoty z czystą złośliwością. Może u schyłku życia władca tak bardzo znienawidził nas wszystkich, że postanowił zesać na nas kilka długich lat wojen? Bo przecież nie można spędzić wielu, wielu lat na rządzeniu krajem i nie widzieć, że jego progenitura tylko czeka na to, by skoczyć sobie do gardeł. Co, z całym szacunkiem dla rodziny królewskiej, nie było niczym zaskakującym. Edvin i Nuut tłuką się z pasją nawet o znalezionej marchewkę.

Drugim jego błędem było zlekceważenie córek, które okazały się jeszcze ambitniejsze od braci. Gdyby zaginiony tatulo przekazał swym dziewczętom osobne dziedziny, być może do konfliktu by nie doszło – bo ponoć bracia z początku chcieli uszanować ostatnią wolę – ale tak nie zrobił, czym ponownie zdradził się z kompletną niezajomością ludzkiej natury. Bo ja, choć od króla powinienem być głupszy, wiem doskonale, że kiedy Edvin i Nuut biją się o marchewkę, z reguły przejmuje ją Salia.

Doszło więc do Waśni, która całkowicie odmieniła oblicze Doliny. Po kilku miesiącach pokoju Fryderyk, najstarszy z braci, uznał, że ma cały ten testament głęboko w dupie, bo wedle odwiecznej tradycji władzę przejmuje najstarszy syn władcy. W tej sytuacji gorącym orędownikiem posłuszeństwa testamentowi obwołał się młodszy, Raimond, który zgromadził wokół siebie koalicję w postaci reszty rodziny. Raimond był z całej piątki najlepiej wykształcony i być może zdołałby w jakiś sposób siłą narzucić egzekucję testamentu, co najprawdopodobniej nie zostało przeoczone przez zwolenników Fryderyka. Wszak wiedza i wykształcenie zawsze



budziły zabobonny lęk. Raimond padł z ręki zamachowca, a na czele jego koalicji stanęła najstarsza z sióstr, Yanna. Przedstawiła ona dokumenty, wedle których była spadkobierczynią Raimonda. Rzekomo papiery zostały tak dobrze sfalszowane, że nie było się jak do nich przyczepić.

Bracia i siostry wytrwale tłukli się o tron i koronę, to wpadając sobie w objęcia i poprzysięgając wieczną miłość, to znów wypinając się ku sobie mało reprezentatywnymi częściami ciała. W trakcie owych zapamiętałych bojów umknęło im, że właściwie nie ma już o co walczyć – spłonęło kilka miasteczek i sporo wsi, wielu poddanych uciekło przed wojną i nędzą do ościennych królestw, a elfy, krasnoludy i gobliny z rozbawieniem obserwowały coraz żałośniejsze rozgrywki ludzi, otwierając granice tylko po to, by sprzedać walczącym broń.

A obserwować zapewne było co, zwłaszcza gdy chwiejną równowagę zaburzyła druga z sióstr, Nelia, która uzyskała protekcję wuja Godfryda. Po kilku kreatywnych poprawkach wprowadzonych do królewskiego drzewa genealogicznego okazało się, że pokrewieństwo nie jest aż tak bliskie, by Nelia nie mogła poślubić Ryszarda, jednego z Godfrydowych synów, i tym samym uzyskać powód do inwazji na Dolinę.

Rzadko się zdarza, by inwazja obcego państwa przyniosła cokolwiek dobrego, ale tym razem tak się stało – Fryderyk, Rupert, Yanna i dwaj pozostali bracia, Nikodem oraz Stefan, zwarli szyki i wspólnie stanęli przeciwko najeźdźcom pod wsią Ubożę. Bitwa, wskutek której wieś ową doszczętnie spalono, została uznana przez obie strony za zwycięską, przez zwykłych ludzi za kompletną masakrę, a przez kronikarzy za moment, w którym zmagania o władzę w Dolinie zaczęły powoli przygasać.

Nelii i Ryszardowi przypadła uczciwie wywalczona dziedzina na lewym brzegu rzeki Krwawicy, od tej pory trafnie nazywana Zgliszczami. Fryderyk zajął stolicę Doliny zwaną Krzemykiem, Rupert umocnił się w Sokolniku, Yanna na zamku Dym, Nikodem objął Ugór pod granicą krasnoludzką, a Stefan – moje rodzinne Wichrowiny graniczące z bagnami Skri'i. Uroczyste podpisane pokoju odbyło się jakieś dwa lata temu i przeszło do historii jako pokój krzemycki. Od tej pory nowi władcy Doliny skupiali się nie tyle na wojnie między sobą, ile na odbudowie tego, co wojna litościwie oszczędziła.

Oszczędziła zaś niewiele. Nie było komu zajmować się uprawą, handlem i rzemiosłem, a więc nowi władcy imali się najróżniejszych sposobów pozyskania ludzi do pracy. Jednym z nich było rozpuszczenie części drużyn – z tego, co się orientowałem, żaden z potomków króla Rodryka nie miał na swe rozkazy więcej niż dwóch setek wojska i garści pasowanych rycerzy.

Wojna zaś, choć cicha, mniej spektakularna, ale równie niszczycielska, trwała nadal.

Wszak stare ambicje i nowe nienawiści wcale po zawarciu pokoju krzemyckiego nie wygasły. Bez przerwy pojawiali się nowi, równie zachłanni krewni, a potomkom króla Rodryka rosło własne potomstwo. Trzeba było szukać informacji, sposobów na łatwy zarobek, a najlepiej – samych pieniędzy.

I tak oto w ciągu zaledwie kilku miesięcy wojna w Dolinie przybrała zupełnie inny charakter. Nie prowadzono jej już za pomocą zbrojnych oddziałów. Nie ścierano się na równinach, nie palono wsi, nie oblegano zamków, nie wyrywano młodych chłopaków z domów i nie wcielano ich

siłą do wojska. Nie, nowa wojna skupiła się na montowaniu siatek szpiegowskich, które tylko czekały, by coś wykraść bądź wychwycić ważne informacje. Na rozpowszechnianiu fałszywych wieści, które budziły panikę poddanych i nieufność inwestorów. Na potajemnym sabotowaniu inwestycji sąsiada. Na finansowaniu działalności band zbójceckich i grup gangsterskich. Wreszcie na porwaniach dla okupu.

Odpowiedź na moje pytanie nasuwała się sama.

– Do Doliny spływa wszystko to, czego nie udało się wybić w sąsiednich krainach – ciągnąłem, przepłukawszy gardło. – Rozbójnicy, złodzieje, najemnicy, oprawcy, reketierzy i cała masa innych kurwich synów, którzy właśnie spodziewają się rozpocząć nową karierę. Nasi książęta zaś...

Skrzypnęły uchylone drzwi, promyki świateł zatańczyły, trącone podmuchem. Do komnaty weszła Sara, uśmiechnęła się przepraszająco i usiadła na krześle. Potem założyła ramiona na piersi.

Zbiło mnie to z tropu. Nie zdarzało się, by moja żona uczestniczyła w naradach – jak dotąd zadowolala się moim sprawozdaniami z ich przebiegu. Tym razem jednak z jakiegoś powodu uznała, że powinna znaleźć się wśród nas, a poza, w jakiej zasiadła oraz jej wzrok, twardy i przenikliwy, zdradzały, że nie ma najmniejszego zamiaru wychodzić.

– Eee... Dzieci już śpią? – bąknąłem.

– Nie wiem. – Sara wzruszyła ramionami, a potem zaplotła ręce na piersi i rozparła się wygodniej. – Zaryglowałam drzwi do ich sypialni. Nie wyleżą. No dalej, nie przeszkadzaj sobie. Mówiłeś coś o kurwich synach i o książętach.

– Ale to w sumie taka trochę... No, nasza sprawa – powiedziałem niewyraźnie.

– Zdefiniuj słowo „nasza”. – Uniosła brew, czym sprawiła, że temperatura w pomieszczeniu nieco spadła. – O ile się orientuję, nadal jesteś moim mężem, a ta zgraja nierobów wciąż mieszka w Gryfie, tak więc słowo „nasza” obejmuje również mnie.

Słyszając słowa „banda nierobów”, moi towarzysze powinni przynajmniej udać oburzenie. Miażdżąca cisza w komnacie zdradzała, że oni również zrozumieli to, co ja – pewna epoka dobiegła końca. Rozpoczynała się kolejna, w której Sara miała zamiar odegrać jakąś rolę.

– No dobrze – powiedziałem, wzruszając ramionami. Próbowałem się zachować, jakby niecodzienne zachowanie żony nie zrobiło na mnie wrażenia, choć wiedziałem, że nikogo nie zmylę. – Ta sytuacja przerasta naszych książąt. Oczywiście potrafią nasmrodzić za granicą swojego malutkiego księstwa, ale nie mają pojęcia, jak sobie radzić z atakami wymierzonymi w siebie. Jeśli nie wierzycie moim słowom, przypomnijcie sobie postawę jakże walecznego sir Valdana oraz trupa, sir Naiana. My zaś – nabrałem tchu, unikając spojrzenia Sary – po ostatniej akcji znaleźliśmy na czele listy drużyn do zadań specjalnych. Jeśli istnieje jakaś konkurencja, zostawiliśmy ją daleko w tyle. Spodziewajcie się, chłopaki, wielu zleceń i mnóstwa, mnóstwa forsy!

Odpowiedziały mi wiwaty i toasty. Atmosfera rozluźniła się szybko i piliśmy tego wieczoru jeszcze długo, choć ja musiałem się zmuszać do wesołości. Nie potrafiłem się odnaleźć, gdy czułem na sobie ciężkie, zamyślane spojrzenie Sary.



Mój ulubiony czas po każdym powrocie do domu to chwila, w której wreszcie zamykamy za sobą drzwi sypialni. Nie mogę się wtedy nasycić pysznymi krągłościami żony, a ona oddaje mi się z żarliwością i tęsknotą. Kochamy się chciwie, bez skrępowania, bez słów. Cud, że łóżko wytrzymuje.

Tym razem było inaczej. Sara reagowała na moje pieszczoty apatycznie, mechanicznie, czasami wręcz niechętnie. Była milcząca i ograniczyła się zaledwie do paru cichych westchnień, a po wszystkim wstała i otworzyła okno na ciepłą, letnią noc. Księżyc w trzeciej kwadrze zalał nas bladym światłem, uwypuklając smukłą sylwetkę mojej żony.

– Co się dzieje? – spytałem ochryple i przeplukałem usta winem, które stało na stoliku przy łóżku.

– Ty mi powiedz, Edmund – odpowiedziała, nie patrząc na mnie. – Bo wszystko już, jak widać, masz przemyślane.

– O co ci chodzi? – odrzuciłem kołdrę i opuściłem stopy na chłodną drewnianą podłogę. – Że nie zapraszałem cię wcześniej na nasze narady? Wybacz, ale nie sądziłem, że to dla ciebie ważne, a poza tym – mój głos nabrał ostrości – jak ci zależy, potrafisz sama się wprosić.

– Jak mi zależy – prychnęła Sara. – A na czym tobie zależy?

– Na dostatku – warknąłem. – Na dobrobycie. Na tym, by zostawić jak najwięcej dzieciakom. Na jednej akcji zarobiłem dla nas trzydzieści mohinów. Trzydzieści! Wiesz, ile to jest?

Pożałowałem swego tonu, gdy usłyszałem chłód w głosie Sary:

– Wiem. Prowadzę księgi karczmy, Edmund. Stąd jest mi wiadomym, że od początku roku zarobiliśmy razem siedemnaście.

– Ciężką pracą – powiedziałem. – Bardzo ciężką. Dzień w dzień wypiek chlebów, warzenie zupy, gotowanie polewki, wtaczanie beczek, sprzątanie po pijakach, słuchanie ich bredzenia... Nie zasługujesz na takie życie, Sara! Nasze operacje przynoszą znacznie więcej pieniędzy i wkrótce będziemy mogli sobie pozwolić...

– Ty niczego nie rozumiesz. – Sara odwróciła się do mnie gwałtownie. Jej piersi zafalowały. – Niczego!

Chciałem ją objąć, ale groźny błysk w jej oczach uświadomił mi, że to nie najlepszy pomysł.

– No to mnie oświeć. – Rozłożyłem ramiona. – Wytłumacz mi, w czym łatwy zarobek jest gorszy od tego mozolnego.

Długo milczała i wpatrywała się we mnie.

– Albo zaczyna ci odbijać, albo już jest za późno – wycedziła. – Bo jakoś nie przypominam sobie, byś przed wyjazdem na akcję – zaakcentowała ostatnie słowo, a w jej tonie zabrzmiała ironia – gardził ciężką pracą w karczmie.

– Wcale nie gardzę! – obruszyłem się. – Po prostu widzę inne opcje.

– Ja też. Mnóstwo innych opcji. Wiele z nich ocieka krwią.

Zapadła cisza, przerywana jedynie echem odległego śpiewu Gramma.

– O nas się boisz? – Uniosłem brew. – Niepotrzebnie. Szkoda, że nie widziałaś, jak Zwierzak strzela ani jak Urgo kosi w starciu wręcz. Podczas...

– Nie – szepnęła Sara z rozczarowaniem, niemalże z rozpaczą. – Nie o to mi chodziło. Zawsze gdy wyjeżdżasz, jestem chora z nerwów i modłę się do Doli, byś złamał nogę na miedzy i mógł zostać w domu. Boję się, że coś ci się stanie...

– Naprawdę nie musisz! W tak doborowym towarzystwie...

– ...a po twoim powrocie dowiaduję się, że zasrana akcja była niemożliwa do przeprowadzenia! Że w zasadzie, gdyby nie łaska Doli, powinniście już nie żyć lub, w najlepszym razie, wracać do domu w łachmanach, pobici przez rozgoryczonego zleceniodawcę! Ale nie, udało się! – prychnęła Sara, zaciskając pięści. – Udało się! Edmund zwany Kociołkiem osiągnął sukces i zamiast rymnąć na kolana i dziękować Doli za to, że uszedł z życiem, oświadcza wszem wobec, że jest gotów do kolejnych takich pieprzonych operacji! Odbiło ci? Resztki mózgu wypchnąłeś wraz z rozwolnieniem?

– Sara! – huknąłem i wstałem w nadziei, że da mi to jakąś przewagę. – Akcja była trudna, ale znaleźliśmy rozwiązanie. Doskonale rozwiązanie i stosunkowo bezpieczne. Czepiasz się słówek. Akcja wydawała się niemożliwa tylko na początku, bo kiedy już znalazłem zastosowanie dla talentów Żychłonia...

– I dalej niczego nie rozumiesz – powiedziała Sara cicho, ale z takim zacięciem, że umilkłem.

– Oświeć mnie więc. – Założyłem ramiona na piersi. – Bo mi się wydaje, że wszystko jest jasne! Nie było cię tam, nie wiesz, jak sytuacja naprawdę wyglądała. Może – poczułem, jak i we mnie narasta gniew – powinienem zabierać cię ze sobą, co? Żebyś przestała się o mnie bać!

– Z lękiem o ciebie jakoś sobie poradzę – wysyczała. – Bo taki lęk, Edmund, wpisany jest w kobiecą naturę. Nie jest łatwo, ale go zniosę. Jakoś zniosę. O wiele trudniej znieść mi to, że owego lęku nie podzielasz!

– Że co?

– Że ty nie boisz się o nas! – wrzasnęła Sara z furją. – O mnie! O dzieci!

– Przecież... – zacząłem, ale nie dokończyłem. Nagle pojąłem, o co chodzi mojej żonie, i poczułem, jak moje serce zaczyna się osuwać w bezdenną, zimną przepaść.

– Skoro tak doskonale rozumiesz stosunki polityczne panujące w Dolinie – syczała – powinieneś równie dobrze zdawać sobie sprawę, że owa sława najlepszej drużyny do spraw specjalnych może ci równie dobrze zaszkodzić. Choć w zasadzie nie zaszkodzi tobie, tylko nam! Bo gdy ty będziesz wojował o dobrobyt, ktoś, przeciwko komu wojowałeś na poprzedniej akcji, postanowi spalić Gryfa. Nie wiem, czy zrobi to z zemsty, z zawiści czy z żądzny mordy, ale na pewno zrobi to z przyjemnością, bo, jak sam byłeś uprzejmy zauważyć, kanalii u nas nie brakuje. A ja, nawet gdybym miała na rozkazy setkę zbrojnych, nie chcę narażać naszych dzieci na ani pół dnia oblężenia. Na ucieczkę również nie mam ochoty, podobnie jak na gwałt, niewolę, kalectwo czy inne uroki życia bezbronnego człowieka.

Przełknąłem ślinę.

– Czyli... – wykrztusiłem – czyli czego ty ode mnie chcesz?

– Nie wiesz? – Sara westchnęła z udręką. – No to się domyśl, skoro taki mądry jesteś.

Przeszła obok mnie, rzuciła się na łóżko i obróciła plecami. Nie powiedziała już nic więcej.